

# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu l. 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— Poznań 10 lipca, 1888 r. —

Nr. 20.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycji, ulica Podgótna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

## WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

### ROZDZIAŁ XVIII.

Pierwszy śnieg położył koniec ostatnim wysiłkom jesieni; drzewa ogołocił z resztek liści, powarzył kwiaty, które pochyliły swe smętne główki, a blade promienie słońca pierwotnej siły, ani świetnej barwy przywrócić im nie są w stanie. Zdradliwie, niespodziewanie przyszedł ten przedstawiciel zimy i dokonał wielkiego dzieła zniszczenia.

Dzień zaduszny jest dniem wyjazdu baronowej Meineck, wieczorem mają opuścić Calow. Stella poraz ostatni wysłuchiwała rannej mszy w ubogim, wiejskim kościółku, u stóp którego leży cmentarz, a na nim spoczywają zwłoki Franciszka Meinecka. Na dworze jeszcze szaro, w kościele na ołtarzu palą się grube, woskowe świece, rzucające niepewne, migotliwe światło.

W małej ławeczce blisko ołtarza siedzi siostra miejscowego proboszcza w nowym, żółtą różą ozdobionym, zimowym kapeluszu. Przy wejściu Stelli podnosi oczy z nad dużej w czerwony aksamit oprawnej książki i robi jej miejsce obok siebie, kiwając przyjaźnie głową.

W kościele jest kilka tylko osób: starców i żebraków; ludzie, mogący pracować, zazwyczaj nie tracą na modlitwie drogiego dla nich czasu. Postacie kłęczących niewyraźne na pobielanych ścianach rysują cienie; głośny szepot modlitwy i szelest przesuwanych różańców zdradza ich obecność; przy ołtarzu słychać monotony głos księdza, a dym kadzidła i woskowych świec unosi się ponad tem wszystkim, niknąc w gorze niebieskiego sufitu.

Po skończonem nabożeństwie Stella żegna się serdecznie z siostrą proboszcza i wychodzi na cmentarz. Zwyczajna była tego widoku, ale dziś szczególnie ten cichy, wiejski cmentarzyk dziwnie przykre zrobił na niej wrażenie; widziała małe, na wpół zapadnięte groby, obrosłe zeschłym zielskiem; na jednych stały żelazne krzyżyki, w których niejeden leżał na ziemi połamany, lub przegniły. Grób pułkownika znajdował się tuż przy kościele z widokiem na rzekę, płynącą opodal; ocieniony płaczącą wierzbą, całe lato przez Stellę jak najtroskliwiej pielęgnowany, dziś

wyglądał równie smutno i biednie, jak tamte, więcej zaniedbane.

Różnobarwne odmiany chryzantei, które Stella niedawno własnoręcznie posadziła, pochyliły zcięte mrozem główki i zczerniałe listeczki; wśród tych zmarłych kwiatów leży zupełnie świeży wieniec, który niezadługo takiego samego doczeka się końca. Stella przykłęka na grobie ukochanego ojca, całuje namiętnie zmarłą, sronem okrytą ziemię, jakby ją chciała ogrzać swem gorącym tchnieniem.

— Żegnam cię, ojcze! szepce półgłosem; ale prawda, nacóż ja się żegnam z tobą; przecież jesteś przy mnie zawsze, jak anioł-stróż, towarzyszysz moim krokom, szukając mi szczęścia na świecie! Nie martw się, żeś mi go dotąd nie znalazł, i lepiej zabierz mnie do siebie, jestem gotowa i chętnie pójdę za tobą!

Klucze od mieszkania oddawszy miejscowemu proboszczowi, baronowa z córką wyjechała do Pragi, skąd jeszcze tego samego wieczora w dalszą puściły się drogi.

Długo jechały zupełnie same, dopiero kiedy w Fürth po dokonanej rewizyi wsiały napowrót do wagonu, nie udało im się, pomimo przekupienia konduktora, uwolnić od towarzystwa obcych. Pociąg rusza już prawie, kiedy drzwi otwierają się pospiesznie i poza niezliczoną ilością ręcznych pakunków ukazuje się jakaś wysoka postać kobieca. Stella przygląda się nowoprzybyłej z niechęcią; ma na sobie długi podróżny, cynamonowego koloru płaszczyk, ozdobiony tak niezliczoną ilością kokard, kutasów i sznurów, że przypomina najzupełniej ubranie andaluzyjskiego poganiacza mułów; na głowie sterczy wywinęty kapelus z czerwoną kokardą, przepiętą złożoną kogucią nóżką bajecznej prawie wielkości. Przyjrawszy się uważnie Stella poznaje w podróżnej pannę Bertę Furwesen, nauczycielkę muzyki, która tak cierpliwie przez całe lato studjowaniu „Etudes symphoniques“ się oddawała. Panna Furwesen ze swej strony poznaje także Stellę i pomimo, że ta ostatnia w życiu zaledwie kilka słów z nią



zamieniła, uważa ją za starą znajomą i niepytana opowiada cały przebieg czterdziestoletniego swego życia.

Dłuższy czas była nauczycielką muzyki w Rosji; oburza się na tamtejsze stosunki, nie mogąc się odchwalić uprzejmości i urody młodych ruskich książątek, z którymi od pierwszej chwili spotkania na bardzo dobrej żyła stopie. Obecnie jedzie do Paryża z zamiarem odbycia artystycznej podróży do południowej Ameryki i Australii w towarzystwie jakiegoś impressaria. Pominąwszy znaczne zyski, jakie ta podróż przynieść jej może, ma nadzieję, że muzyka wpłynie korzystnie na cywilizację tamtejszych mieszkańców.

Stella słucha dosyć cierpliwie, a na zapytanie, dla czego jest taka milcząca, wymawia się silnym bólem głowy.

Panna Furwesen uważa, że zapewne głód jest powodem migreny i chcąc jej przyjść z pomocą, wyjmuje z haftowanej w białe i ponsowe róże torebki zatłuszczony pakiecik, leżący pomiędzy fanelowym kaftanikiem i innymi toaletowymi przyborami, i ofiaruje Stelli kawałek zimnego kapłona.

Stella w niebardzo uprzejmy sposób dziękuje za ten apetyczny posiłek, dodając, że sprobuje usnąć, co prawdopodobnie ból głowy usunie.

Panna Furwesen sądząc, że to duma rodowa nie dozwalają pannie Meineck zbyt niej poufałości z biedną nauczycielką i jest jedynym powodem odmowy, umilkła, czując śmiertelną urazę.

Stella, nie uważając na to, usnęła smacznie; zbudził ją dopiero nosowy głos konduktora, oznajmiający podróżnym, że następna stacya to Norymberga, gdzie przesiadać się trzeba.

Panna Furwesen na tę wiadomość wyjmuje potargany fałszywy warkocz i grzebień, wszystko z powyżej opisanego worka, zaczynając się czesać pospiesznie.

Dniało już kiedy pociąg z szumem i sykiem, rzucając kłęby iskier dokoła, zatrzymał się na peronie norymberskiego dworca.

Nie mając czasu na obszerne rozglądanie się, nasze podróżne rzuciły tylko okiem na opodal od dworca wznoszące się miasto! stare bezkształtne domy i kilka nowych kamienic w fałszywym budowanym stylu przedstawiły się w niewyraźnych zarysach zdumionym ich oczom.

Zaledwie zdążyły zjeść bardzo liche śniadanie i kupić na drogę pudełko twardych norymberskich ciasteczek, jako też nowe wydanie powieści Tauchnitza, kiedy trzeba było siadać do innego przedziału i pociąg z szaloną szybkością unosi je dalej, przez wsie, małe jodłowe laski, większe i mniejsze miasteczka!

Okolo południa Stella, patrząca oknem wagonu, dostrzegła w dali szumiący, wązki paseczek Renu; jakiegoż doznała rozczarowania, widząc tego króla rzek; nie przedstawiała go sobie takim zamglonym, tak do siebie niepodobnym, bez wesoło szybujących statków i parowców, nieoświetlonego promieniami słońca. Płynął z szumem i jękiem, jak starzec, powalony troskami, albo jak człowiek, na którego barkach spoczywa ciężka jaka zbrodnia; winnice, stojące na brzegach, ogołoczone z liści, nie upiększają, ale przeciwnie odejmują jeszcze resztę uroku temu, i tak smutnemu widokowi.

A pociąg pędzi dalej z błyskawicznym pospiechem, przejeżdża miasteczka o nieznanach, legendowych prawie nazwach! ruch w nich powoli ustaje, bo noc zapada, czerwone i zielone latarnie pobłyskują w ciemności, ostatni przeraźliwy świst lokomotywy i dojeżdżają do Kolonii.

W Kolonii podróżne nasze chcą się przebrać, zjeść kolację i mają nadzieję obejrzenia tumu pomimo otaczających go ciemności.

## ROZDZIAŁ XIX.

Pani Meineck i Stella ukończyły prędko skromną toaletę i równie skromną kolację i przeszły do ogólnego salonu. Baronowa, przeczytawszy cały zapas zabranych na drogę książek, zbliża się do wystawionej kolejowej biblioteki; ogląda uważnie porostawiane fotografie obojga

cesarstwa, Bismarka i Moltkego, pomiędzy którymi zabłąkał się konterfekt jakiejś pierwszorzędnej baletniczki; następnie czyta tytuły leżących bez ładu książek. W rogu stołu dostrzeżga przysłoniętą na wpół z innymi dziełami małą, w zielony papier oprawną broszurkę, w której poznaje własną swoje pracę. Kupuje ją natychmiast i wychodzi ze Stellą do przyległego damskiego pokoju, chcąc z całym zajęciem odczytać własną swą rozprawę. Biedna Stella znów samej sobie pozostawiona, stara się napróżno zainteresować jakąś angielską powieścią, której bohater i bohaterka godzą się już po raz dwudziesty może. Znudzona temi sprzeczkami zakochanych składa, ziewając, książkę i rozgląda się po pokoju. Na przeciwnym końcu stołu w możliwym oddaleniu siedzi obrażona panna Furwesen, zajęta pisaniem listu; od czasu do czasu podnosi oczy w kierunku Stelli, ażeby ją obrzucić pełnem niechęci spojrzeniem. Obok niej, także przy tym samym stole, siedzą dwie damy, jedząc najwykwintniejszą kolacją, w jaką kolońska restauracya zdobyć się może; majonez z homarów, butelka szampana i inne przysmaki stoją porostawiane przed nimi. Jedna z podróżnych o majestatycznych ruchach i kosztownem futrze, opadającym z istic królewskich ramion, wygląda imponująco; pomimo, że twarz, usta i brwi są pomalowane i mocny zapach perfum rozchodzi się dokoła, wygląda dystygowanie, nie robiąc wcale wrażenia podróżującej primadonny.

— Czy to czasem nie księżna Obłońska? pyta się Stella samą siebie z lekkim drżeniem; — naturalnie — nie ma wątpliwości — to ona!

A obok niej — po tej samej, co Stella, stronie — twarzą do księżnej zwrócona kobieta, któż to być może?

Jan Leskiewicz zauważył niegdyś, że ramiona Stazyi mają wiele podobieństwa z bokami butelki szampana. Stella, obserwując baczniej, domyśla się siedzącej tyłem do niej osobistości, poznaje Stazyę, bo drugiej pary węższych, więcej wklęsłych ramion, jak te, co sterczą z pod futrem obitego płaszcza, nie ma chyba na świecie. — Z początku milczą obiedwie, krzepiąc się podawanymi przysmakami, wreszcie księżna pierwsza zaczyna rozmowę.

— Gdzie go poznałaś? pyta z dziwnym jakimś uśmiechem, odsuwając talerz nagłym ruchem ręki.

— Kogo? odzywa się jej towarzyszka.

Nie, Stella nie zmyliła się; po usilnych poszukiwaniach znalazłyby się może drugie takie wazkie ramiona, ale równie syczącego i piskliwego głosu nikt drugi posiadać nie może.

— Wiesz przecież — mego *chevalier sans peur et sans reproche*.

— Edgara? Tego lata byłem nawet dłuższy czas z nim razem; podług mnie należy zawsze jeszcze do najwięcej interesujących mężczyzn, jakich w życiu spotkałam. Jego profil, jego cudowne oczy, a przytem osobistość cała nadzwyczaj ujmująca.

Powyzsza rozmowa toczy się we francuzkim języku, księżna włada nim bardzo biegle, chociaż trochę z twardym akcentem, Stazyja popełnia dużo niedokładności.

— Dziwna rzecz... szeptem księżna Obłońska jakby do siebie.

— Cóż cię dziwi? pyta zaciekawiona Stazyja.

— Dziwi mnie, żeś go spotkała, dziwie się, że wogóle żyje jeszcze, że kiedykolwiek żył i żeśmy się w sobie kochali! Historyą, co się działo w Baden-Baden, dawno uważałam za sen tylko, zapominając, że to rzeczywistość.

Ostatnim słowem, wypowiedzianym cichym, harmonijnym szeptem, towarzyszy ciężkie westchnienie, jakaś boleśna nuta drga w pełnym głosie księżny.

— Zdaje mi się, że czytała cudną jakąś powieść, opowiada dalej piękna pani półgłosem; był to pogodny dzień letni, wokoło kwitnęły róże, upajając mnie słodką wonią — dźwięki łagodnej muzyki dolatywały z daleka. Długo żyłam poezją — ale raz przecież czarowna bajka skończyć się musiała i nastąpiła przykra rzeczywistość! .. Coż się z nim dzieje właściwie — czy zawsze jeszcze nie-



roczony — czy też przeciwnie zadowolony ze swego losu?

— Nie, Soniu, on nie jest zadowolony, zapewnia ją Stazyja melancholijnym głosem, opierając rękę na ramieniu przyjaciółki; nie zapomniał dawnej miłości, ale dumny jest bardzo, nie okazuje więc niczem bólu, krwawiącego mu serce; względem obcych zachowuje się swobodnie i obojętnie, ale w spojrzeniu jego wyczytać można tę bezdenną rozpacz, co nurtuje mu w duszy. Oczy Stelli zabłysnęły gniewnie.

— Mówi nieprawdę, woła bijące jej serce — kłamie — oszukuje tylko.

Obiedwie przyjaciółki ściskają sobie ze współczuciem ręce.

— On nie wie nawet, com ja wycierpiała przez niego, odzywa się Sonia półgłosem; może sądzi, że tylko dla majątku poślubiłam księcia! Nie, to nie było powodem i on tego myśleć nie może; chciałam go uwolnić od dłuższego rozdwojenia z najbliższą rodziną — jedynie z miłości dla niego przyjął rękę starszego, niekochanego przeze mnie człowieka — dla niego żywcem pogrzebałam się w grobie.

— I ona kłamie, buntuje się wzburzone serduszek Stelli, nie zdolne do tego.

Zrozumiałam twoją ofiarę, księżno, odzywa się słodko Stazyja, i podziwiałam cię. Ale czy wiesz, że on osiwił — osiwił zupełnie po tej smutnej historii; po twoim ślubie osiwił, bo utracił cię.

— Osiwił, szepnęła księżna, osiwił! a miał tak piękne ciemno blond włosy. Musiano mu dużo złego opowiedzieć o mnie, a on wierzył wszystkiemu, bo mężczyźni wierzą zawsze, kiedy słyszą co złego o kobietach, z których powodu cierpieli. Ale ty wiesz przecie, jak niewinna była ta kokieteryja, którą chciałam zapewnić otaczającą mnie próżnię, jak nieszkodliwym protegowanie młodych, wiele obiecujących artystów, jak dziecinny stosunek z młodym księciem Capito. A gdyby się kto znalazł, co by go o tem objaśnił, polepszył moją u niego opinią, zresztą gdybym tylko miała sposobność spotkać się z nim raz jeszcze, wtenczas..., mówi z błyszczącymi oczyma, a wyraz zupełnej pewności siebie ukazuje się na pięknej jeszcze twarzy.

— To cóż byłoby wtedy? spytała Stazyja, grożąc palcem figlarnie; o toż zawróciłabyś mu raz jeszcze głowę i uczyniłabyś jeszcze smutniejszym i tak opłakany los jego.

— Mylisz się, szepnęła księżna, *on revient toujours à son premier amour*. Anastazyo, mówiłam ci przecie, że pierwsze moje małżeństwo było poprostu żywcem zakopaniem się w grobie.

— Więc miałabyś ochotę raz drugi zrobić to samo?

— Och nie! jabym tylko chciała odżyć na nowo

Przy ostatnich, głośno prawie wypowiedzianych słowach księżnej serce biednej Stelli ścisła się gwałtownym, niewytłomaczonym bólem.

Muszę ci ten ustęp przeczytać, odzywa się baronowa do córki, delektując się własnym utworem; dziwię się, że ta broszurka większego nie zrobiła rozgłosu — sądzę, że przyczyną tego jest zupełne zerwanie literackich stosunków, nie mając w tych sferach żadnych znajomości.

— Baronowa Meineck! przerywa jej Stazyja, obracając się nagle. I ty, Stello? — mówi uprzejmie, cóż za miła niespodzianka; — pozwolą panie, że je zobopólnie przedstawię — baronowa Meineck i jej córka Stella — księżna Obłońska

Księżna zwyczajem wielkich dam, mających do czynienia z równymi urodzeniem sobie osobami, powstaje z krzesła i z łaskawym uśmiechem wyciąga ubrylantowaną rękę. Baronowa, zajęta broszurką, z roztargnieniem ujmuje dłoń księżnej — Stella dziwnie blada z zaciśniętymi ustami zaledwie końcem palców jej dotyka.

W panie Furwesen, zawsze jeszcze piszącej, odnajduje Stazyja równie dobrą znajomą, spędziwszy z nią całe jato w Calow.

— Dobry wieczór panno Furwesen, mówi słociutko, panna Berta Furwesen, sławna pianistka, przedstawia ją księżnej, a panie się już zapewne znają, dodaje zwracając się do baronowej i Stelli.

Księżna dobrotliwym, chociaż mocno protekcyjnym głosem wdaje się w muzyczną dyskusję z nowo poznaną artystką; Stazyja złośliwym szeptem zwraca się do Stelli:

— Możliwy po twojem postępowaniu sądzić, że jesteś zazdrosną na Sonię.

— Co za niedorzeczność, odpowiada Stella przez zaciśnięte zęby, oblewając się silnym rumieńcem.

Stazyja miłosiernym wzrokiem mustruje jej szczupłą figurkę; widzi pobladałą, wychudłą twarzyczkę, więcej niż skromny ubiór podróżny, składający się z tego brązowego płaszcza, w którym odbyła pamiętną podróż do Wenecyi.

Naturalnie, że to niedorzeczność, mówi szydersko, chceć się porównać z Sonią. Tam, gdzie ona się pokaże, żadna inna istnieć nie może; Sonia jest świetlanem zjawiskiem, które wszystkie inne pozostawia w cieniu.

— Verviers! Paris! Bruksela! woła donośny głos portiera.

Robi się ogólne zamieszanie — zbierają się pakunki; księżna, żegnając nowe znajome łaskawem skinieniem głowy, wychodzi ze Stazyją w towarzystwie wygalowanego lokaja i zaspanej służącej. Baronowa ze Stellą siadają do wagonu, zajętego już przez jakiegoś Anglika w kraciastem ubraniu i jego żony, w kapeluszu, spadającym jej prawie na oczy.

Panna Furwesen zmierza do tego samego przedziału, ale widząc znieawidzoną sobie twarzyczkę Stelli, odwraca się szybko, obrzucając ją gniewnem spojrzeniem.

— W tej mam śmiertelną nieprzyjaciółkę, myśli sobie Stella, wzruszając obojętnie ramionami. Coż ją to obchodzi — a jednak... gdyby przyszłość przewidzieć mogła?

Pociąg zbliża cię coraz więcej do celu podróży; baronowa, nie zważając na migotliwe, wzrok psujące światło kolejowej lampy, zatapia się w czytaniu własnego utworu; Amerykanka usnęła smacznie na ramieniu swego Amerykanina, a biedna Stella, nie mając najmniejszej do snu ochoty siedzi wyprostowana przy oknie, patrząc bezmyślnie na zwiększające się ciemności.

„Nie, ja chcę odżyć na nowo!..“ słowa księżnej uparcie wracają jej na usta, a w uszach dźwięczą złośliwe wyrazy Stazyi: „wobec Soni nie istnieje żadna inna kobieta na świecie.

Więc to jest ta czarodziejka, która złamała szczęście jego życia? piękna jest bardzo, ale jaka fałszywa, jaka próżna, serce jej i dusza tak malowane jak oczy i usta. Czyż to możebne, żeby ją mógł pokochać raz jeszcze, żeby go usidliła fałszywymi wdziękami? Cóż mnie to zresztą obchodzi?... mówi gniewnie z nagłym na twarzy rumieńcem; przecie i on jest fałszywy; próżny i bez serca, i on udawać umie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Zniszczona i zubożała do szczeru, nie może już przyjść do siebie. Dawne jej źródło bogactw bezpowrotnie już zatracone. — Szlaki handlowe do *Carogrodu* i *Indyi* nie



mają już racji bytu. Droga *Indyi Wschodnich* odkryta zmienia cały porządek rzeczy i handlowego świata idee. Zamiera wskutek tego potężna na południowym morzu *Wenecya*; — Wysby tu na północy, wskrzeszonym już być nie może!

Widzimy więc tu przed sobą wielką, historyczną mogiłę; leży przed nami ustawione szkieletem dawnej wielkości umarłe miasto, jakby z popiołów odkopana archeologów skarbnica — średniowieczna *Pompea* północy — przedwiekowych wspomnień legendy na gruzach swoich opowiadając.

Skreśliwszy w dwóch słowach charakterystykę wyspy i pobieżnie zeskicowane jej dzieje — przyjrzymy się teraz miastu. *Wysby* na pierwszy rzut oka na samym wstępie, a zwłaszcza zdaleka widziane, imponujące na przybywających czyni wrażenie wielkiego grodu starożytnego, lasem niemal skupionych baszt, murów i wieżyc swoich, a całym szeregiem przepysznych zrębów kościelnych nas zadziwiając.

Zbliżając się do majestatycznej tej panoramy, która półkolem na trzech odrębnych terasach piętrowo nad morzem się rozłożyła, spostrzegamy dopiero chaotyczne i oryginalne jej położenie i wyjątkową charakterystykę, która przyszłość i terażniejszość — śmierć i życie — legendę zapadłych dziejów i rzeczywistość dnia dzisiejszego w jednym nam ustawiła obrazie.

Na tysiąc kilka set kroków od morza, które temu na pół martwemu krajobrazowi dziwnego życia i uroku dodaje — w trzech, jak powiedziałem, odrębnych tarasach, ustawiło się miasto. Nad samem morzem, na wąskiej płaszczynie, która przed wiekami jeszcze nie istniała wcale i wodą głęboko była zalana, a później dopiero wychyliła się z toni i wzrosła lądem, ustawiło się miasto nowe — miasto ogródków i zieleni, dzisiejsza elegancka i strojna kapielowa urzędnicza miłościna, otoczona drzewami i kwieciami — młoda i wyświeżona *Gotlandu* stolica!

Ponad tem zielonem, żywym miasteczkiem, na sto stóp wyżej, na stromym stoku wapienia, który się podniósł w górę, a ongi w morzu spoczywał, to dawne przedwiekowe wybrzeże morskie, na którym bogate i handlowe *Wysby* się budowało, port swój, aczkolwiek niewielki, ni okazały w miejsce dzisiejszego nowego miasta przed sobą mając. Tutaj oryginalne, kręte, waziuchne, prawdziwie labiryntowe uliczki średniowieczne prastarej budowy. Sterczące ciemne mury przedwiekowych budowli, przerobione i zeszcpeczone do niepoznania, wybielone i wymalowane niesmacznie, niby wyszarzane kokiety stare, z pomarszczoną twarzą, na emaliowanej kunsztownie masce wyróżzowane.

Biedne te, poważne staruszki protestują kształtem surowym, łukami i sklepieniami swojemi przeciw tej zniewadze małomiejskiej cywilizacji, która je tak niezręcznie oszpecić się poważyla. Indziej znowu sterzące mury w prastarym swym majestacie, — szczerbate zręby starożytnego gmachu wybiegają hardem czołem ku niebu; to niby duchy przeszłości, otoczone maleńkimi domostwy, które jak pigmee dnia dzisiejszego je okoliły, na piersiach starych ojców nieśmiało się opierając, kontrasta wieków nam przedstawiają.

Wśród tego chaotycznego obrazu dwanaście majestatycznych świątyń, prawdziwych katedr wielkomijskich poważną ruiną się wznosi — a z siedmiu dawnych dzisiaj i śladu nie pozostało.

Z pomiędzy tych 19 wielkich, przedwiekowych kościołów, z których dwanaście, jak powiedziałem, stroi dzisiejszy krajobraz północny — jedenaście majestatycznych pozostało szkieletów — jedenaście ruin okazałych i jedna tylko świątynia żywa — majestatyczna — olbrzymia, ale i zeszcpeczona cokolwiek dobudowaniem wierzchołka na starej wieżycy, katedra — przesliczny kościół *Panny Maryi* na służbę Bożą jeszcze tutaj pozostawiony.

Oto jest stare *Wysby* — właściwe miasto umarłych i żywych — miasto ruchu, handlu i wspomnień zarazem, które tam po szczegółach jeszcze zwiedzimy.

Nad tem miastem — wyżej półkolem znowu — od morza do morza wznosi się trzecia amfiteatru estrada. Wysoka ściana wapienna, podobno dawny, przedhistoryczny brzeg wyspy; na tej ścianie stok pochyłony do morza, od brzegu na jakie 500 kroków dopiero warowne mury obronne hanzyatyckiej siedziby pobudowano. Na pochyłej wyżynie, pod — osłoną tych murów, ubożuchne rozlokowało się przedmieście jakoby *Waliszewo* — *Zagórze*, lub *Śródka* nasza *Poznańska*. To siedziba rybaków i proletaryatu okolicznego, poza którą imponujące swą wysokością mury obronne z trzydziestu ośmioma wieżami, które, równoległe od siebie na straży stojąc, jakoby rządem gigantycznych duchów rycerzy, z czterdziestu dziewięciu dawnych bastyonów jeszcze tu pozostały.

Po obudwach brzegach tego amfiteatru dwie białe skały dwa „klini“ kredowe, zamykają panoramę nadmorską, dodając jej prawdziwego majestatu.

Trzy ponad sobą zawieszone piętra, trzy części miasta oddzielne, z kilkudziesięcią ruin i zrębów — z dwunastu kościołami w ruinie, i trzydziestu ośmioma basztami w głębi, — oto krajobraz ciekawy i okazały zarazem, który nad brzegiem nieprzejrzanego morza fantastycznym marzeniem kołysze, żywą legendą prastare nam dzieje przypominając.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



## LISTY

Narcyzy Żmichowskiej do Bibiany Moraczewskiej.

IV.

2 Kwietnia 1861.

Wczoraj Panna Karczew twój list oddała, a dzisiaj niespodziewanie zjawia się do Poznania okazya, lecz tak pospieszna, że ci nic porządnie zebrać i napisać nie mogę. Juluta zaczęła się starać o różne notatki, by ci przynajmniej co najświeższych nowin dostarczyć, zdaje się jednak, że waś wszystko dość spieszenie dochodzi; jedno wymiarować nie mogę, z której dochodzi strony. Przeczytałam większą połowę korespondencji nadesłanych „Dzien. Pozn.“ i widzę, że korespondencye miewacie od ludzi trochę stronnie na rzeczy się zapatrujących, szczególnie imiona własne à tort et à travers cytowane, spotkałam nie jeden frazes przyznający Zamojskiemu naczelnictwo w prowadzeniu dzisiejszych wypadków. Prawda, on stoi na tytule, że jednak nie prowadzi, to ci muszę w sekrecie powiedzieć. Silna tylko potrzeba jedności przed Moskałami trzyma go na tak wyniosłem stanowisku. Rzeczywiście zaś wszystko co się utargowało, co się zrobiło, to po części mimo niego zrobiło się nawet. Jeśli chcesz mieć wyobrażenie dzisiejszej atmosfery, to ci powiem że się już na zwykłe, nieuniknione, konieczne warstwy ułożyła, jest masa palnych materiałów, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu m a t e r y a ł ó w, ludzi wrażeń, instyktów, chęci, zachcianek i entuzjazmu bez najmniejszej logiki. Jest masa druga z tych samych pierwiastków złożona z przydatkiem logiki bez odpowiedniego stanowiska, jest później warstwa ludzi ze stanowiskiem i z dobrą wolą, a nakoniec warstwa, którą bym nazwała czysto obywatelską ze stanowiskiem, ze wspólnem życzeniem i tradycyjną dyplomacją. Pierwszy pokład reprezentują młodzi ludzie w najkrajniejszych konfederatkach, następnego pokładu organem jest mniej więcej dyrekcya konstablów, trzeciego żywiołu uosobnieniem delegacya miejska, a czwarty gatunek odbija się najwierniej w Panu Andrzeju i jego najpodanniejszym komitecie. Otóż



z takiego rozłożenia elementów wyrobiło się coś podobnego do angielskiej kombinacji rządowej; podobieństwo z daleka wzięte, powiem ci jednak na czem oparte. Jak wedle teorii Montesquiego w Anglii różne władze mają się równoważyć i nawzajem podbudzać, tak i u nas równoważą się i podbudzają... Dotychczas krasne konfederatki popędzają konstablów, konstable delegacją, delegacja komitet i odwrotnie znów konstable pilnują konfederatek — delegacja uładza konstablów, a delegacją i wszystkich razem Pan Andrzej z całej siły za poły trzyma. Nigdy żaden projekt zrodzony inicjatywą w tej lub owej warstwie nie wszedł jeszcze w wykończenie.

Muszę już kończyć i tylko ci powiem, że oddawczyni tego listu pani Cieszkowska jest oddawna moją dobrą znajomą.

## Woltyżerka.

Komedia w jednym akcie

przez

**Emila Pohl'a,**

Tłom. M. W.

(Dokończenie.)

ENGELHARD.

Pani jesteś zbyt uprzejmą, ale przyrzekłem Cezarowi, że się do pani brać nie będę; jednakże tak codziennie kilka godzin z panią przegawędzić, codziennie... i rzeczywiście, gdybyś pani nie... (*urywa*)

ŁUCYA (*kończąc*).

Była woltyżerką —

ENGELHARD.

Tego powiedzieć nie chciałem.

ŁUCYA.

Właśnie to chciałeś pan powiedzieć.

ENGELHARD.

Nie, chciałem panią prosić, abyś mi pani pozwoliła śpiewać. Przypomniały mi się moje akademickie czasy, a w tym razie muszę śpiewać, bobym się uduślił.

ŁUCYA.

Dobrze, śpiewajmy.

ENGELHARD.

Miły koleżko, wypijmy! (*śpiewa*)

Hej! użyjmy żywota,  
Wszak żyję tylko raz;  
Niechaj ta czara złota  
Nieprożno wabi nas.

Hejże! do niej wesoło,  
Niechaj obiega w koło.  
Chwytaj i do dna chyl  
Zwiastunkę słodkich chwil.

Śpiewaj, kolego. (*Oboje śpiewają*).

Hej! użyjmy żywota itd.

**SCENA XIII.**

Ciż sami, CEZAR, OTON (z lewej strony).

CEZAR (*zdumiony, staje przy drzwiach*).  
Co widzę?

ENGELHARD (*wznosi kieliszek*).  
Niech żyją akademickie czasy!

ŁUCYA (*trąca kieliszkiem*).  
Niech żyją, wiwat!

ENGELHARD.

Wypić!

CEZAR (*zbliżając się*).

Co to znaczy?

OTON.

Okrutna pijatyka.

CEZAR (*do Łucyi*).

Łaskawa pani tutaj?

ENGELHARD.

Twoje zdrowie Cezarze.

CEZAR.

Coż zaszło takiego?

ŁUCYA (*wstaje*).

Jak pan widzisz — przyjaciel pański ugaszczą woltyżerkę.

CEZAR.

Co to znaczy? nie powiedziałeś przecież —?

ENGELHARD.

Wszystko w porządku. Jesteśmy z panną Claire w jak najlepszej przyjaźni.

CEZAR.

Nieszczęsny! Ta dama nie jest przecież —

ENGELHARD.

Co, co? nie, a więc?...

CEZAR

Baronówna Łucya.

ENGELHARD (*ostupiały*).

Czyż to być może?

ŁUCYA.

„Baronówna Łucya,“ która zawdzięcza przypadkowi i temu zacnemu młodemu człowiekowi, że dość wcześnie na wskroś poznała pana tego domu.

ENGELHARD (*zdumiony*).

Baronówno, przebaczenia! Czyż byłem ślepy? A to dopiero nawarzyłem piwa.

ŁUCYA (*ironicznie do Cezara*).

„Nudny, mdły wieczor wiosenny“ składa panu dzięki za mile spędzoną szarą godzinę.

CEZAR (*do Engelharda*).

A więc i to wypaplałeś?

ENGELHARD (*jękając się*).

Przecież nie wiedziałem... Chciałem jak najlepiej...

CEZAR.

Piękny przyjaciel z ciebie.

OTON.

Powóz tej damy już naprawiony i czeka przed bramą.

ŁUCYA.

Dobrze, ominiemy dół. (*zimno*) Panie baronie, moje ukłony matce pańskiej.

CEZAR.

Spełnię polecenie.



ŁUCYA (*do Engelharda*).

Panie Meiningshausen, proszę, zechciej mi pan towarzyszyć do miasta.

ENGELHARD (*wstaje*).

Czy pani nie gniewasz się rzeczywiście?

ŁUCYA.

Bynajmniej. Proszę, podaj mi pan kapelusz i rękawiczki.

ENGELHARD (*przynosi jej kapelusz i rękawiczki*).  
Otoż są.

ŁUCYA (*wkładając kapelusz*).

Bardzo dziękuję. Ciotka moja ucieszy się, jeżeli pan z nami raczysz wypić herbatę. Winnam się rewanżować?

ENGELHARD.

Zawstydzasz mnie pani.

ŁUCYA.

Poproszę mą ciotkę, aby ze mną pojechała obejrzyć pańskie lasy i stary zamek rodzinny.

ENGELHARD.

Będzie się pani podobał niezawodnie.

ŁUCYA.

A jutro wezmę pierwszą lekcję woltyżerowania.

ENGELHARD.

Czybyś pani chciała?

ŁUCYA (*swawolnie*).

Z pewnością. Ktoż pędzi rozkoszniejsze życie, jak woltyżerka? Wieczne rozrywki, zabawy, awanturki, dowcipy i... inteligentni i wierni wielbiciele. Jest to zachwycające. Podaj mi pan ramie.

ENGELHARD.

Z przyjemnością.

ŁUCYA.

Chodźmy. Powóz mój naprawiony, wieczor cudowny... nie jest to wcale „nudny wieczor wiosenny.“ Opowiedz mi pan jeszcze o swych czasach akademickich i zaśpiewasz jaką wesołą piosnkę (*śpiewa*).

Hej! użyjmy żywota!

ENGELHARD.

Cesarze, przebacz!

CEZAR (*przez zęby*).

Idź do diabła!

ŁUCYA.

No, śpiewaj pan przecież.

OBOJE.

Hej! użyjmy żywota!

(*śpiewając, wychodzą na lewo*).

OTON (*śpiewa z nimi*).

Hej! użyjmy żywota!

(*Cezar wciska kapelusz na czoło i rzuca się w krzesło*.)

Kurtyna zapada.

KONIEC.

## KRYTYCZNY POGLĄD

### na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 19.)

Kwestya uregulowania żywienia jest i pozostanie jedną z najważniejszych w zakresie higieny leczniczej w ogólności.

Niemowlęta i dzieci tracą codziennie pewną ilość azotu, węgla, wody i soli, a straty te codzienne, będące wynikiem czynności odżywczych i rozwoju ich ustroju, powinny znaleźć w żywieniu dostatecznym wyrównanie. Niemowlę nie karmione odpowiednio nienie, słabnie i ginie.

W mleku owym typie, czyli pierwotnym, pokarmów zupełnych, znajduje niemowlę wszystkie zasadnicze pierwiastki pożywienia. Białko i sernik przedstawiają tu istoty białkowe, masło przedstawia tłuszcz, cukier mleczny t. n. wodany węgla, a serwatka zawiera wodę i sole czyli t. n. pierwiastki nieorganiczne. Cóż zaś zostaje i znajduje ono w młakach dla dzieci, owych zachwalanych zastępcach pokarmu matki? Co dzieje się z krochmalcem (mączką), gdy tenże dostaje się do żołądka niemowlęcia?

W przemianie istot mącznych ślina niemowlęcia odgrywa tylko rolę drugorzędną. Prof. Ewald z Berlina\*) zbadał świeżo wpływ, jaki wywiera ślina na przemianę krochmalu w cukier, odbywającą się w żołądku; dowiódł, że przemiana krochmalu w cukier prawie nie następuje w żołądku i że po podaniu stężonego odwaru mączki wykazano wprowadzić obecność dekstryny mogącej fermentować i maltozy, ale że przemiana tej ostatniej w cukier dokonuje się dopiero w kiszczach, gdzie sok trzustkowy główną wypełnia czynność. Sok trzustkowy zawdzięcza swą własność przestawiania krochmalu w cukier właściwemu fermentowi, amylapsiną zwanemu.

Ponieważ niemowlę w pierwszych dwóch, a nawet i trzech miesiącach tylko bardzo mało ślin wydaje, a trzustka jego prawie nie wydziela, jasnym nam być musi, iż o trawieniu mączki w żołądku, ani następnie i w kiszczach, u niego mowy być nie może.

Z rozlicznych badań wiemy obecnie, że części mączki niestrawione, albo jako takie opuszczają przewód pokarmowy niemowlęcia, albo też zamieniają się pod wpływem kwa-u mlecznego, w żołądku i kiszczach obficie nagromadzonych, jako i pod wpływem drobnoustroji (mikroorganizmów, w t. n. kwasy maślane wolne. Te kwasy maślane wywołując drażnienia błony szluzowej kiszczek, stają się w nich powodem przewlekłych zaburzeń i częstych, obfitych t. n. kwaśnych wydzielin. Badanie drobnowidzem (mikroskopem) tych części wydzielonych, jak i dochodzenie ich na drodze chemicznej, pozwala z łatwością wykryć w nich niezmiennione ziarnka mączki.

Wsparci na tych spostrzeżeniach lekarze, nie mogą obojętnie patrzeć na reklamy owych twórców „zastępców pokarmu matki“ (Ersatz der Muttermilch), gdyż pożywka, której przewód pokarmowy ani rozpuścić, ani przyswoić sobie nie jest w stanie, a co ważniejsza, objawy chorobliwe za sobą pociąga, pokarmem nazywać się nie ma prawa.

Tylko wtenczas wolno lekarzowi polecić jaki wyrób mączny i to przeważnie jeszcze w pierwszych trzech miesiącach życia niemowlęcia za pożywkę, jeśli dokładnie się przekonał, że ona na pewno nie zawiera w sobie niezmiennionej mączki (krochmalu).

\*) Dr. Dujardin-Beaumetz „Hygiena żywienia“ przełożył Dr. Z. Dobieszewski. Kraków. 1888. Strona 64



Nie uciekając się do znanego od dawna naturalistom sposobu wykrywania mączki przy pomocy mikroskopu z dodatkami jodiny, bromu i t. p., możemy o obecności jej w owych mąkach dla dzieci przekonać się zupełnie łatwo i przystępnie, i to dolewając do którychbądź z mających się badać wyrobów, odpowiedniej ilości wody, 72° Celsusza cieplej, przyczem ziarenka mączki pęcznią i lepić się poczynają, a pod wpływem jednej kropli jodiny z jodkiem potasowym rozpuszczonej i kilku kropli kwasu siarczanego, przybierają owe ziarenka barwę ciemno-modrą. Dolewając do owej napeczniałej mączki jedną kroplę bromu, spostrzeżemy natychmiast zabarwienie jej pomarańczowe.

Mąki dla dzieci, zawierające opisaną powyżej dekstrynę i glukosę, rozpuszczającą się i dającą się przyswoić w ustroju niemowlęcia, umieszczone w cieplej wodzie 72 C., barwią się, po dolaniu do nich jednej kropli jodiny na czerwono-fioletowo, a po dodatku bromu wcale się nie zmieniają.

Przedstawwszy pobieżnie ową tak doniosłą sprawę trawienia mączki w przewodzie pokarmowym, jako niezbędną podwalinę przy ocenianiu wspomnianych powyżej wyrobów mącznych, o miano zastępców pokarmu matki się kuszających, nadmieniliśmy unyślnie nawiasowo o owem dochodzeniu za mączkę, przejdziemy teraz do sądu i to tylko najpoważniejszych autorów, wydanego o owych znanych powszechnie i zachwalanych mąkach dla dzieci.

Mąka dla dzieci Nestle'go. (Nestle's Kindermehl), znaną jest od dwudziestu kilku lat i miała odpowiednio do swej wartości odżywczej i leczniczej, niezaskutek i niezwykłe powodzenie. To powodzenie stało się bodźcem dla licznych innych chemików i fabrykantów niemieckich, i w krótkim czasie pojawiły się obok mąki Nestle'go, chemika w Vevey, w Szwajcaryi zamieszkałego, i inne podobne wyroby i to: Fr. Koblenza w Kolonii, Mohra w Bockenheim i t. d., a następnie owych wyliczonych już powyżej, większy rozgłos posiadających, ich tworców i opiekunów.

Ze znanego obecnie, dawniej w wielkiej tajemnicy trzymanego rozbioru chemicznego wypadła, iż wyrób ten przeważnie z mąki i zgęszczonego, wysuszonego mleka się składający, powinien przynajmniej dziewięć razy tak wielką ilością wodą być rozczynionym, nimby w ogóle żołądkowi niemowlęcia ku trawieniu miał być powierzonym, przy którymto rozrzedzeniu znowu ilość soli pożywnych okazałaby się niedostateczną.

Prof. Fleischmann\*), który pierwotnie zdawał się na wyrób ten dość pobłażliwie patrzeć okiem, wypowiedział ostatecznie, i to już 1875 r., iż mąka Nestle'go za wiele zawiera mączki i dekstryny, nie pozwalającej w pierwszych trzech miesiącach życia niemowlęcia służyć za pożywienie, i że wysoka cena nie pozwala jej się kusić o miano zastępczyni pokarmu matki.

\*) Prof. Fleischmann op. cit. Strona 141 (w Domu polskim. Strona 135, dopisek).

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści.

**Nakładem** księgarni Teodora Paprockiego i Sp., wyszedł ostatni zeszyt dzieła Ch. Leignobosa, „Historia cywilizacji“ w tłumaczeniu polskim Adolfa

Dygasińskiego. Dzieło to — jak wiadomem — wychodziło zeszytami i ostatni wyszły zeszyt obejmuje 10 arkuszy druku (od str. 641 do 816). Całość obejmuje 51 arkuszy druku, ozdobionych 177 drzeworytami.

**Pani Malwina Ogonowska**, profesorka literatury polskiej i rosyjskiej przy uniwersytecie bonońskim, która niegdyś i nasz „Dwutygodnik dla kobiet“ zaszczycała swem współpracownictwem, napisała po włosku krytyczne studjum o wieszczu naszym, Zygmuncie Krasińskim. Pracę p. Ogonowskiej poprzedza pogląd na poezję polską od najdawniejszej epoki, poczem następuje szczegółowa charakterystyka poetów XIX wieku, opis walki klasycyzmu z romantyzmem, a wreszcie pogląd na życie i dzieła nieśmiertelnego autora „Irydiona“ i „Nieboskiej.“ Dzieło to może dokładnie zaznajomić Włochów ze stanowiskiem, jakie Z. K. zajmuje w naszym piśmiennictwie i literaturze wszechświata.

**Pan Hakowski**, artysta warszawski, posłał na tamtejszą wystawę sztuk pięknych swą pracę, kopią obrazu Matejki „Sobieski pod Wiedniem“, wykutą w srebrze, prawdziwe — rzecz można — arcydzieło sztuki cyzelerkiej. Na tejże wystawie odznacza się również między innymi obraz p. Alchimowicza, „Pogrzeb Gedymina“, wyobrażający pogrzebowy orszak, przeciągający około zamku trockiego ze zwłokami pogańskiego księcia. Obraz ten, przywieziony niedawno z Wilna, pospieszy wkrótce w dalszą jeszcze podróż — do Paryża. Pan Alchimowicz odbywał studia malarskie w Monachium, a później we Włoszech; oprócz wzmiankowanego najnowszego swego utworu — z pod pędzla utalentowanego artysty wyszły dawniej: „Córka Lizdejki“ i „Karliński.“

**W teatrze** *dul Verme*, w Medyolanie, wystawiono nową operę brazylijskiego autora, Gomeza de Aranjó. Utwór to słaby, doznał jednakże ze względu na zgromadzoną na przedstawieniu całą rodzinę brazylijskiego cesarza — nader przychylnę przyjęcia.

**„Largo“** Beethovena, ustęp wyjęty z sonaty fortepianowej (opus 7) przerobił p. Stanisław Niewiadomski na chóry i orkiestrę, a Kornel Ujejski napisał do niego słowa. Przerobiony utwór ma być wykonany we Lwowie na koncercie „Lutni.“

**Młodzieńcy** utworu Wagnera. „Die Feen“, wystawiają w Monachium. Partycya ukazała się tamże nakładem Hechla.

**„Dzwon“** Schillera, nowa kompozycja B. Scholza, wykonana w Elberfeld i w Düsseldorfie przez miejscowe stowarzyszenie śpiewaków pod dyrekcją autora, znalazła wielkie powodzenie. Niektóre ustępy kantaty musiano powtarzać. Znamcy-krytycy przyznają utworowi p. Scholza wysokie muzyczne zalety.

**Wiedeńscy** zajęci byli na dniu 21 i 22 czerwca przeniesieniem zwłok nieśmiertelnego mistrza tonów, Ludwika Beethovena, z cmentarza währingiego na cmentarz centralny wiedeński. Przypadała właśnie 61 rocznica śmierci wielkiego muzyka. Liczny zastęp przedstawicieli różnych instytucji towarzyszył poważnemu obchodowi. Na wieku nowej trumny położono napis:

Ludwik van Beethoven

urodzony d. 16 grudnia 1770 roku

zmarł 26 czerwca 1827 r.

Trumnę tę złożono w oszklonym karawanie. Profesorowie konserwatorium muzycznego nieśli trumnę przez ulice stolicy, następnie biskup Angerer pobłogosławił zwłoki, poczem je przeniesiono do grobowca. Pod tymże grobowcem wznosi się piękny obelisk, a na nim lira i prosty napis: *Beethoven*. Uroczystość powtórnego pogrzebu wielkiego muzyka zakończyły świetne mowy i odśpiewanie chóru zmarłego mistrza: „Die Ehre Gottes.“



**Warszawskie** „Towarzystwo muzyczne“ ogłosiło konkurs na libretto do opery w języku polskim. Jednym z warunków jest, że libretto ma koniecznie zajmować całe widowisko — może być poważnym, lub komicznym, ale z wyłączeniem rodzaju operetkowego. Przedmiot dowolny, winien jednak odpowiadać przepisom cenzury. Najlepszy utwór otrzyma nagrodę w ilości 200 rs. i pozostanie własnością autora. Termin konkursu upływa z dniem 1 grudnia rb. Autorowie winni swe prace nadsyłać do komitetu „Towarzystwa muzycznego.“ Do grona sędziów należą pp. Faleński, Jenike, Karłowicz, Kozieradzki, Rapacki; także członkowie komitetu, pp. Hertz, Münchheimer, Noskowski, Ostrowski, hr. Ryszczewski, Skarzyński i Wiślicki.

**Dnia 7 lipca**, w sobotę, odbyła się w kościele św. Marcina msza św. na intencją dzieci szkolnych, wysłanych na wakacje. Po mszy św., którą odprawił ks. Snowacki, wszystkie dzieci, a było ich przeszło 400, udały się na salę p. Knolla pod przewodnictwem redaktora „Dziennika pozn.“, p. Dobrowolskiego. Przybył tam również zaproszony przez Komitet ks. prob. Pędziński i kilku nauczycieli, którzy ofiarowali Komitetowi swoje pomoc i bardzo się gorliwie z zadania swego wywiązali. Oprócz dzieci i ich rodziców, zebrała się na sali liczna publiczność. Najprzód zabrał głos pan Fr. Dobrowolski, od lat kilku z uznania godną gorliwością i zaparciem siebie sprawą tą się zajmujący, uwydatnił działanie Komitetu, podziękował za pomoc panom nauczycielom i wszystkim dobrodziejom, którzy domy swe ubogiej dziatwie gościnnie otworzyli, napominał dzieci, ażeby czasu wakacyjnego użyły do uczenia się języka polskiego i włożyły obowiązek na rodziców, żeby nie tylko o fizyczną, ale głównie o moralną stronę dzieci dbali. Wreszcie podniósł zasługę ks. Bącikiewicza z Kaszub, który wystarał się o miejsca dla kilkudziesięciu dzieci i zapewnił obecnych, że Kaszubi są gorącymi Polakami i katolikami. Po panu Dobrowolskim zabrał głos ks. prob. Pędziński i w serdecznych wyrazach odezwał się do dzieci, jak się mają w gościnie zachowywać, jak dzień przepędzać, pobożnie i pracowicie, aby się stały miłymi Bogu i ludziom i starały się zasłużyć sobie na przychyłość i życzliwość swych dobroczyńców. Następnie jeszcze wyznaczył p. Dobrowolski każdemu dziecku godzinę, w której ma się stawić na kolej i podał nazwisko miejscowości, do której jest wysłane.

M.

## Promyki.

Sprawiedliwość powinna kierować opinią, a nie opinia sprawiedliwością.

Serce niewieście to nie przedmiot do wiwisekcyi; z wosku — gdy kochane; pod ostrzem skalpela zmienia się w granit. (Zofia Mellerowa).

Serca złamane widzą koniec swych męczarni jedynie w śmierci, której wyczekują z utęsznieniem. Ale, niestety!

śmierć nie przychodzi nigdy na zawołanie; cierpienie zaś ma w sobie szczególną moc odporną i nietatwo złamie siły człowieka. Adam Krechowiecki.

W skutek strasznego ciosu, ciężkiego doświadczenia częstokroć zamiera w nas wszystko, co stanowi dzwignię w życiu: wiara we własne siły, wiara w przyszłość, w serca ludzkie, w stałość uczuć i w niezłomność przysięgi.

Adam Krechowiecki.

Ileż to razy uczucia szlachetne, jakimi obdarzyła natura człowieka, zmarniały w samolubnych żądzach i namiętnościach!... Miss Jesson.

Całe życie nam zatrucę są zdolni ludzie bezduszni, z oschłym, lub namiętnościami wypalonym sercem, a wiecznym fałszem i kłamstwem na ustach!... M. J.

Nieraz zdaje nam się, żeśmy się powinni oswoić z cierpieniem, swoim codziennym towarzyszem; tymczasem ostry cień bólu głęboko tkwi w ranie, żal i gorycz nie przestają poić serca. M. J.

Miłość, o której mówią, że jest na ziemi szczęściem jedynym, zapoznaje częstokroć z boleścią bez granic i srogą bywa mistrzynią. Quile Penne.

Można od razu dać się zdruzgotać gromem uczucia i nawet znaleźć w tem rozkosz, ale koniecznie potrzeba wiedzieć, skąd ten grom piorunowy pochodzi. Ludwik Helevy.

Nie wszystko stracone i rozpacz nie powinna mieć przystępu do duszy, gdy w najcięższych chwilach życia znajduje się choć jedno wierne, szlachetne serce, na którem polegać można z całym zaufaniem. Q. P.

## Nekrologia.



**D. 21 czerwca** umarł w Warszawie ś. p. Adam Goltz, znany w szerokich kołach inteligencji, jako uczony pisarz i dziennikarz. Urodzony 1817 r. w Sieniawie, ukończywszy szkoły w Warszawie, udał się do Berlina, gdzie przeszedł kurs filozoficzny, dalsze studia odbywał w Greiswaldzie i w Paryżu. Wróciwszy z zagranicy, poświęcił się z całym zamiłowaniem gospodarstwu na wsi, szanowany i kochany od sąsiadów. Znakomite zdolności wydobyły go wkrótce z zaciszna sielskiego na widownię publiczną. R. 1842 został jednym z założycieli i współpracowników „Roczników gospodarstwa krajowego“, później członkiem i sprawozdawcą „Towarzystwa rolniczego“, r. 1862 członkiem „Rady wychowania publicznego.“ Zasiłał nadto ś. p. Adam Goltz swemi pracami różne warszawskie wydawnictwa, jak: „Roczniki“, „Niwę“, „Bibliotekę warszawską“, „Wiek“, i „Kronikę rodzinną“, której do ostatka dni swoich wiernym pozostał przyjacielem i która też pamięć swego cennego współpracownika uczciła obszernym życiorysem w ostatnim swym numerze z d. 1 b. m., gdzie między innymi najpiękniejszą pochwałę zmarłego w tych zawarto słowach: „Duszę jego przenikały nawskroś trzy wielkie uczucia: miłość Boga, miłość kraju i miłość bliźniego. One kierowały jego myślą i jego pracą, dla nich on cały swój żywot poświęcił.“

**TREŚĆ:** Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi). — Wyspa Gotland. Obrazek z podróży ułożył hr. Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström. (C. d. n.) — Listy Narcyzy Żmichowskiej do Bibiany Moraczewskiej. — Woltyżerka. Komedya w jednym akcie przez Emila Pohl'a. Tłom. M. W. (Dok.) — Krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci. napisał Dr. Józef Koszutski. (C. d. n.) — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści. — Promyki. — Nekrologia.